

[fragment książki](#)

Wspaniałe ciotki

Ciotka J., najmłodsza z moich ciotek, zabrała mnie na pierwszą w życiu konferencję pisarzy. Odbywała się ona w Montrealu, w 1958 roku, gdy miałam osiemnaście lat. Stworzyłam już sporo imponujących wierszy – w każdym razie ja sobie imponowałam jako ich autorka. Występowały w nich gnijące liście, kosze na śmieci, niedopałki papierosów i filiżanki kawy. Kilka miesięcy przedtem zwarłam się z T.S. Eliotem i siłowaliśmy się tak długo, aż miałam go w klinczu. Nie wiedziałam, że już wtedy w modzie było mówienie o nim per T.S. Idiot.

Nie pokazałam tych niehigienicznych wierszy matce, najstarszej z trzech sióstr, osobie pragmatycznej z racji opieki nad pozostałymi. Była ona najbardziej usportowiona w rodzinie, przepadała za końmi i jazdą na łyżwach, i każdą inną formą szybkiego ruchu, który pozwalał jej zapomnieć o obowiązkach domowych. Moja matka napisała w życiu tylko jeden wiersz, gdy miała osiem czy dziewięć lat. Zaczynał się tak: *I had some wings, They were lovely things* [Miałam skrzydła, były one ładne], po czym opisywał, w zgodzie z jej naturą, prędkość uzyskanego za ich pomocą lotu. Wiedziałam, że jeśli każe jej przeczytać napisane wierszem wolnym moje utwory o niedopałkach i fusach z kawy, powie, że bardzo jej się podobają, co stanowiło jej dyżurną reakcję na różne konsternujące zachowania, choćby moje coraz bardziej ponure eksperymenty z ubiorem. Dla niej strojenie się też nie było priorytetem.

Ciotka J. z kolei, według mamy, zapisała całe ryzy papieru. Była postacią romantyczną, ponieważ chorowała niegdyś na zapalenie

opłucnej i spędziła trochę czasu w sanatorium, gdzie produkowała z muszelek broszki w kształcie kwiatów; kilka takich skarbów dostałam w dzieciństwie na Gwiazdkę, w czarodziejskich maleńkich puzderkach wyłożonych watą. Puzderka, miękka wyściółka – to nie było w stylu mojej matki. Ciotka J. musiała uważać na swoje zdrowie – o ile wiedziałam, taka niemoc szła w parze z pisaniem. W kinie płakała w smutnych momentach, tak jak ja, a w dzieciństwie, w Annapolis Valley w prowincji Nowa Szkocja, gdzie wszystkie się wychowały, często oddawała się marzeniom. Na drugie imię miała Carmen i starsze siostry, by ukarać jej dumę z tego powodu, ich zdaniem nadmierną, nazwały tak hodowaną w gospodarstwie świnię.

Ciotka J. miała krągłe kształty, była krótkowidzką (jak ja) i prezentowała się jako sentymentalna gęś, lecz była to zaledwie użyteczna fikcja, część deprecjonującego kamuflażu, za którym wówczas kryły się kobiety, z wielu praktycznych przyczyn. Pod fasadą lawendowej subtelności ciotka była twarda i zdecydowana, jak wszystkie trzy siostry. To połączenie miękkości i twardości bardzo do mnie przemawiało.

Pokazałam więc swoje wiersze ciotce J. Przeczytała i nie wyśmiała ich, przynajmniej w mojej obecności; choć znając ją, myślę, że w ogóle ich nie wyśmiała. Wiedziała, co to znaczy mieć ambicje pisarskie, chociaż swoje musiała na jakiś czas powściągnąć ze względu na wuja M., dyrektora banku, i ich dwoje dzieci. Dużo później sama, jako autorka pięciu książek, przemawiała na konferencjach, uczestniczyła w panelach dyskusyjnych i występowała nerwowo w telewizyjnych talk-show. W międzyczasie przyczała się i pisała opowiadania dla dzieci do tygodników kolportowanych w szkółkach niedzielnych.

Wysłała moje ponure utwory kuzynowi Lindsayowi, wykładowcy literatury angielskiej na Uniwersytecie Dalhousie. Kuzyn orzekł, że dobrze rokuje. Ciotka J. z promiennym uśmiechem pokazała mi jego list. Była to pierwsza formalna zachęta, jaką otrzymałam.

Organizatorem konferencji pisarzy, na którą zabrała mnie ciotka J., był CAA, Kanadyjski Związek Pisarzy, ówczesne jedyne

w Kanadzie stowarzyszenie twórców literatury. Znałam jego reputację – to było to samo imprezowe grono, o którym F.R. Scott napisał „Expansive puppets percolate self-unction/ Beneath a portrait of the Prince of Wales” [Wylewne marionetki z namaszczeniem mówią o sobie/ pod portretem księcia Walii]. Mówiło się, że większość stanowią tam podstarzali amatorzy; mało prawdopodobne było, że zobaczę tam kogoś z trzydniowym zarostem czy ubranego w czarny golf, czy choć trochę przypominającego z wyglądu Samuela Becketta lub Eugène’a Ionesco, którzy właściwie ucieleśniali moje wyobrażenie o prawdziwym pisarzu. Ciotka J. i ja byłyśmy jednak tak spragnione kontaktu z czymkolwiek, co miało posmak świata literatury, że z ochotą dałyśmy szansę CAA.

Wybrałyśmy odczyt wygłaszany przez eksperta od twórczości Fanny Burney. Szeroko otwartymi oczami rozglądałam się po sali. Było tam sporo pań, w średnim wieku według mojej oceny, w kwiecistych sukienkach – jak ciotka J. – i w dopasowanych garsonkach, nie było zaś nikogo, kto wyglądałby jak mój ideał pisarza: blady, zaniedbany, o zaczerwienionych oczach. Ale byłyśmy w Kanadzie, nie we Francji, czy mogłam się więc spodziewać czegoś innego?

Przedtem widziałam na własne oczy tylko jednego kanadyjskiego pisarza, w liceum. Nazywał się Wilson MacDonald i wystąpił w naszej auli. Był stary, chudy i siwowłosy, wyrecytował z pamięci kilka prozdrowotnych wierszy o jeździe na nartach oraz krakał jak wrona. Dość dokładnie wyobrażałam sobie, co pomyślałby o nim Jean-Paul Sartre, i martwiłam się, że sama mogę podobnie skończyć – przywiozą mnie na występ przed grupą spluwających z pogardą nastoletnich zbirów i będę imitować głosy ptaków. Nie można być prawdziwym pisarzem i jednocześnie obywatelem Kanady, to było jasne. Stwierdziłam, że przy pierwszej możliwej okazji wyrwę się do Paryża i zacznę pisać tak, żeby nie dało się mnie zrozumieć.

Tymczasem jednak byłam w Montrealu i razem z ciotką J. czekałam na specjalistę od Fanny Burney. Denerwowałyśmy się. Czułyśmy się jak szpiedzy; w zgodzie z rolą zatem zaczęłyśmy podsłuchiwać.

Tuż za nami siedziała kobieta, której nazwisko znałyśmy, ponieważ w wychodzącej w Montrealu gazecie codziennej drukowano często jej wiersze o świerkach pod czapami śniegu. Opowiadała teraz nie o świerkach, lecz o egzekucji przez powieszenie, do której doszło w przeddzień w miejscowym więzieniu. „To było dla niego straszne – mówiła. – Był taki przybity”.

Uszy nam płonęły. Czyżby osobiście znała skazanego? Jeśli tak, to okropne. Słuchając dalej, zorientowałyśmy się jednak, że ten przybity mężczyzna nie był tym, którego stracono – był nim jej mąż, kapelan więzienny.

Czułam, jakby otwarło się pode mną kilka czeluści: rozziw między sentymentalizmem wierszy tej kobiety a rzeczywistością jej życia, między rzeczywistością jej życia a jej postrzeganiem tej rzeczywistości, między wieszanymi a wieszającymi, jak również między tymi, którzy pocieszają wieszanych, a tymi, którzy pocieszają wieszających. Był to dla mnie jeden z pierwszych przeblysków zrozumienia, że pod powierzchnią herbatek, sportów i bogactwa gatunków drzew Kanada – nawet ten szacowny literacki wycinek, wobec którego żywiłam młodzieńczą pogardę – kryje w sobie znacznie więcej problemów, niż sądziłam.

Ale przecież powinnam była to już wiedzieć.

We wczesnym dzieciństwie nie znałam swojej dalszej rodziny, ponieważ mieszkała ona w Nowej Szkocji, od której dzieliło nas ponad trzy tysiące kilometrów. Moi rodzice wyjechali stamtąd podczas wielkiego kryzysu, bo nie było pracy. Gdy się urodziłam, trwała już druga wojna światowa i nikt nie przemierzał dużych odległości, jeśli nie miał oficjalnego powodu podróży oraz talonów na paliwo. Mimo że ciotki nie były obecne ciałem, były w naszym życiu silnie obecne duchem. Siostry pisywały do siebie co tydzień i matka po kolacji odczytywała ich listy na głos ojcu, ale tym samym również bratu i mnie. Nazywała je „listami z domu”. Mówiąc „dom”, zawsze miała na myśli Nową Szkocję, nigdy miejsce, w którym aktualnie mieszkaliśmy,

co napełniało mnie niejasnym poczuciem, że znajduję się nie na swoim miejscu. Gdziekolwiek mieszkałam, nigdy nie był to „dom”.

Byłam zatem na bieżąco z tym, co słychać u moich ciotek, a także kuzynów, bliższych i dalszych, i wielu innych osób, które należały do rodziny, lecz łączyło je z nami dalsze pokrewieństwo. W Nowej Szkocji człowieka przede wszystkim określa nie to, czym się zajmuje, ani nawet nie to, kogo zna, lecz z jakiej miejscowości pochodzi i z kim jest spokrewniony. Gdy spotykają się po raz pierwszy dwie osoby pochodzące z prowincji nadmorskich, rozmowa zawsze zaczyna się właśnie od tych pytań i trwa, póki strony nie odkryją, że w istocie są ze sobą spokrewnione. Wychowałam się w olbrzymiej rodzinie niewidzialnych ludzi.

Jednak to nie niewidzialne ciotki w obecnych wcieleniach wywarły na mnie największe wrażenie, tylko ciotki takie, jakie były kiedyś. Oto one jako dzieci, w niemożliwie nakrochmalonych sukienkach z falbankami i lśniących kokardach we włosach, charakterystycznych dla pierwszych dekad dwudziestego wieku, czy jako nastolatki, na czarno-białych zdjęciach w albumie, dziwnie ubrane w kapelusiki w kształcie hełmu i płaszczki za kolano, pozujące przy starych automobilach, albo na tle skał lub morza, w pasiastych kostiumach kąpielowych z nogawkami. Na niektórych fotografiach stały objęte. Podpisy, sporządzone przez moją matkę, głosiły: „Nasza trójka”, „Piękności w kąpeli”. Jako dziecko ciotka J. była chuda, ciemnooka, skupiona. Ciotka K., średnia siostra, wyglądała na energiczną i zawsze dobrze ubraną. Moja matka, o olbrzymich oczach jak z obrazów preraphaelitów, z włosami układającymi się w fale i kośćmi policzkowymi godnymi modelki, była piękną, z czego nie robiła ceregieli – miała opinię, i wówczas, i potem, osoby o fatalnym guście, jeśli chodzi o ubiór, i pielęgnowała tę opinię, by nie musiała sama chodzić na zakupy ubraniowe. Wszystkie trzy siostry miały takie same nosy z garbkiem – rzymskie, jak mawiała matka. Chłonełam te zdjęcia, zaintrygowana istnieniem trzech identycznych nosów. Wtedy mojej siostry nie było

jeszcze na świecie i siostrzeństwo jawiło mi się jako pociągająca tajemnica.

Album ze zdjęciami był jednym ze sposobów, w jakie niewidzialne ciotki istniały w moim życiu. Jeszcze żywiej wypadały w opowieściach, bo choć matka nie była poetką, to miała dar opowiadania, a także genialnie naśladowała głosy. Bohaterowie jej opowieści o „domu” stali mi się równie bliscy jak bohaterowie książek, a ponieważ często mieszkaliśmy na odludziu i wiele razy zmienialiśmy miejsce zamieszkania, znałam ich lepiej niż większość ludzi, z którymi miałam styczność w rzeczywistości.

Obsada była zawsze ta sama. Po pierwsze, surowy, budzący respekt dziadek, wiejski lekarz, który podczas burz śnieżnych jeździł po nieubitych drogach saniami zaprzężonymi w konie, przyjmował porody w środku nocy i groził córkom – przede wszystkim mojej matce – że spuści im lanie batem za prawdziwe czy wymyślone przewiny. Nie wiedziałam, co to jest bat, więc ta kara miała dla mnie dodatkowy posmak egzotyki.

Na drugim miejscu roztrzępana, skora do śmiechu babcia oraz ciotka K., o rok młodsza od mojej matki, ale według niej obdarzona znacznie sprawniejszym intelektem oraz siłą woli. Potem ciotka J., sentymentalna i często pomijana. Siostry były zbiorczo nazywane „dziewczynami”. Dopiero w dalszej kolejności mówiło się o „chłopakach”, moich dwóch wujach, z których jeden wysadził, za pomocą domowej roboty środka wybuchowego ukrytego w polanie, pokrywy pieców w budynku szkoły, a drugi był chorowity, ale często rozbawiał wszystkich tak, że „brzuchy ich bolały ze śmiechu”. Były też postacie peryferyjne: najmowane do pomocy dziewczęta, które odchodziły wskutek machinacji mojej matki i ciotki K., niezadowolonych z ich obecności, robotnicy najemni, którzy spryskiwali je mlekiem z wymion podczas dojenia krów, a także krowy, świnia i konie. Konie nie były właściwie postaciami peryferyjnymi – nie wypowiadały wprawdzie żadnych kwestii, jednak każdy miał imię, osobowość i historię. Poza tym były towarzyszami eskapad mojej matki.

Nazywały się Dick i Nell. Moim ulubieńcem był Dick – matka dostała go jako zmalretowaną, nienadającą się do niczego szkapę i odchuchała go, aż odzyskał zdrowie i lśniącą urodę. Był to ten rodzaj happy endu, który uznawałam za zadowalający.

Opowieści o tych ludziach zawierały wszystko, czego można by sobie życzyć: fabułę, akcję, suspens – mimo że wiedziałam, jak się potoczą, ponieważ słyszałam je już wcześniej – oraz strach, gdyż zawsze istniało ryzyko, że dziadek o czymś się dowie i zrealizuje groźbę bata, choć nie sądzę, by w rzeczywistości choć raz uciekł się do jego użycia.

O czym mógłby się dowiedzieć? O, to pojemna kategoria. Sporo było rzeczy, o których miał nie wiedzieć, sporo było też rzeczy, o których dziewczyny miały nie wiedzieć, lecz wiedziały. A gdyby się dowiedział, że one wiedzą? I w tych opowieściach, i w tej rodzinie ważną rolę odgrywało zatajanie – to, o czym się mówiło, i to, o czym się nie mówiło; to, co się mówiło, w odróżnieniu od tego, co się myślało. „Jeśli nie masz do powiedzenia nic miłego, to w ogóle nic nie mów”, mawiała moja matka, co było znaczące. Jej opowieści stały się moją pierwszą lekcją czytania między wierszami.

Matka występowała w tych opowieściach jako fizycznie odważna – dziewczyna, która łąziła po ogrodzeniach i po krokwiach w stodołę, co stanowiło grzech zasługujący na bat – lecz nieśmiała. Była tak nieśmiała, że gdy przyjeżdżali goście, chowała się za stodołą, nie mogła też chodzić do szkoły, póki ciotka K. nie podrosła i wtedy zaczęły chodzić razem. Poza odwagą i nieśmiałością cechował ją jeszcze gwałtowny temperament. „Po dziadku”, wyjaśniała. Wydawało mi się to mało prawdopodobne, bo nie pamiętałam ani jednej sytuacji, w której straciła panowanie nad sobą. Byłby to nie lada widok – jakby królowa angielska stanęła na głowie. Przyjęłam jednak tę informację na wiarę, wraz z całą resztą matczynej mitologii.

Ciotka K. nie była nieśmiała. Nie zauważało się tego, że jest młodsza od mojej mamy: „byłyśmy raczej jak bliźniaczki”. Według mojej matki K. miała jako dziecko stalowe nerwy. Była prowodyrką,

obmyślała intrygi i plany, które następnie wcielała w życie z bezli-
tosną skutecznością. Matka była we wszystko wciągana, chcąc nie
chcąc – twierdziła, że miała za słabą wolę, by postawić się siostrze.

„Dziewczyny” musiały wykonywać domowe obowiązki, tym bar-
dziej gdy wypędziły kolejną pomoc najemną. Ciotka K. przykłada-
ła się do pracy i surowo krytykowała pracę innych. Na późniejszym
etapie opowieści ciotka K. i moja matka miały wspólny ślub i wesele.
W przeddzień czytały sobie na głos pamiętniki z lat dziewczęcych,
po czym je spaliły. „Sprzątałyśmy kuchnię – brzmiał zapisek w pa-
miętniku ciotki K. – W odróżnieniu ode mnie siostry nie wykonały
zadania na piątkę z plusem”. Matka i ciotka J. zawsze się śmiały, po-
wtarzając tę anegdotę. Według nich to jedno zdanie podsumowywa-
ło ciotkę K.

Ale ciotka K. miała w sobie dużo więcej. Była wybitną uczennicą
i studentką, uzyskała magisterium z historii na Uniwersytecie Toron-
to. Moją mamę dziadek uważał za trzpiotkę, której tylko przyjemno-
ści w głowie, dopóki z pieniędzy odłożonych z nauczania nie opłaciła
sobie chesnego w college’u, natomiast ciotce K. gotów był sfinanso-
wać dalsze studia w Oksfordzie. Ona jednak odrzuciła tę propozycję
na rzecz małżeństwa z lekarzem, również pochodzącym z Annapolis
Valley, i urodzenia sześciorga dzieci. Powód takiej decyzji, jak sugero-
wała moja matka, wiązał się z cioteczną prababką Winnie, która także
zdobyła dyplom magistra, jako pierwsza kobieta w historii Uniwर्सy-
tetu Dalhousie, ale nie wyszła za mąż. Ciotka Winnie była skazana –
postrzegano to jako skazanie – na uczenie do końca życia, a na spo-
tkaniach rodzinnych z okazji Bożego Narodzenia miała tęskny wyraz
twarzy. W tamtych czasach, tłumaczyła matka, jeśli kobieta nie wy-
szła za mąż do pewnego wieku, istniało małe prawdopodobieństwo,
że w ogóle znajdzie sobie męża. „Niewychodzenia za mąż nie brało się
pod uwagę – powiedziała mi dużo później ciotka J. – W tej kwestii nie
było żadnego wyboru. Każda miała wyjść za mąż i już”.

W albumie ciotka K. została uwieczniona w satynowej sukni
ślubnej i takim samym welonie, jaki miała na głowie moja matka,

a później, wraz z całą swoją szóstką, na paradzie z okazji Święta Kwitnącej Jabłoni, przebrana za „babę, która mieszkała w bucie” z dziecięcej rymowanki. W odróżnieniu od opowieści w książkach, opowieści mojej matki nie miały jednoznacznego morału, a morał opowieści o ciotce K. był jeszcze mniej jednoznaczny niż inne. Co było lepsze? Być mądrą i iść na studia do Oksfordu czy mieć sześcioro dzieci? Dlaczego nie można było pogodzić jednego z drugim?

Gdy miałam sześć czy siedem lat, a mój brat osiem czy dziewięć, i było już po wojnie, zaczęliśmy wyjeżdżać latem do Nowej Szkocji, co roku lub co dwa lata. Musieliśmy – dziadek przeżył coś zwanego zawałem, właściwie nawet więcej niż raz, i w każdej chwili mógł umrzeć. Mimo swojej surowości i tego, co mnie wydawało się raziącą niesprawiedliwością, był kochany i szanowany. Wszyscy w tej kwestii się zgadzali.

Te wizyty były stresujące. Pokonywaliśmy drogę z Ontario z szaloną prędkością, jadąc po wiele godzin bez przerwy, po powojennych autostradach Quebecu, amerykańskiego stanu Vermont oraz Nowego Brunszwiku, tak że docieraliśmy na miejsce wykończeni i marudni, zwykle w środku nocy. Podczas pobytu w dużym białym domu dziadka musieliśmy mówić cicho i grzecznie się zachowywać, i spotykać się z mnóstwem krewnych, których prawie nie znaliśmy.

Największym obciążeniem jednak było dopasowanie tych rzeczywistych ludzi – o tyle drobniejszych, starszych i mniej barwnych niż powinni być – do znanej mi mitologii. Dziadek nie galopował na koniu po okolicy, nie wykrzykiwał gróźb i nie ratował noworodków od śmierci. Zajmował się struganiem figurek z drewna i popołudniami zawsze musiał uciąć sobie drzemkę, a największym wysiłkiem, na jaki się zdobywał, był spacer po sadzie lub partia szachów z moim bratem. Babcia była teraz opiekunką dziadka, a nie udręczoną, acz zabawną matką piątki dzieci. Nie trzymali już krów i gdzie podziały się piękne konie, Dick i Nell?

Czułam się oszukana. Nie chciałam, żeby ciotka J. i ciotka K. były dorosłymi matkami mojego kuzynostwa, które siedzą w kuchni i obierają fasolę. Chciałam, żeby znów były takie, jakie miały być, żeby nosiły fryzury na pazia i krótkie spódniczki, jak na zdjęciach w albumie, żeby robiły psikusy najemnym dziewczętom, dawały się robotnikom oblewać mlekiem, żyły pod groźbą lania batem, nie wykonywały zadań na piątkę z plusem.

Pewnego razu wybrałam się na literacką wycieczkę z obiema ciotkami.

Miało to miejsce na początku lat siedemdziesiątych, byłam po trzydziestce i miałam na koncie kilka wydanych książek. Mąż ciotki J. zmarł i przeprowadziła się z Montrealu z powrotem do Nowej Szkocji, żeby zadbać o starzejącą się babcię. Wpadłam do nich z wizytą i wspólnie postanowiłyśmy, że pojedziemy do pobliskiego miasteczka Bridgetown, by odwiedzić pewnego pisarza. Pisarz ten, Ernest Buckler, był autorem powieści pod tytułem *The Mountain and the Valley* [Góra i dolina], przy czym górą była North Mountain, a doliną nasza Annapolis Valley. Książka odniosła niejaki sukces w Stanach – co w owym czasie oznaczało w Kanadzie przepustkę do zazdrości i nienawiści wobec autora – ponieważ jednak autor był zdziwaczalnym odludkiem, poziom zazdrości i nienawiści był obniżony. Sukces w Stanach nie przełożył się niestety na sukces w ojczyźnie, ponieważ kanadyjskim wydawcą był abstynencki Kościół unitariański w Toronto, znany z imprez promujących wydanie nowego tytułu, na których podawano wyłącznie soki owocowe. (Z czasem uwspółcześnili swoje podejście, rozszerzając repertuar drinków o sherry, które nalewano w osobnej sali, gdzie potrzebujący napitku mogli się cichaczem wymykać). Wydawca ten odkrył, że książka Bucklera zawiera, jak określała to moja matka, „sprośności”, i ukrył ją w magazynie. Gdy ktoś chciał kupić egzemplarz, procedura przypominała zdobywanie pisemek porno w Państwie Watykańskim.

Czytałam tę powieść jako wczesna nastolatka, ponieważ ktoś sprezentował ją moim rodzicom, sądząc, że im się spodoba, bo

dotyczy Nowej Szkocji. Matka skomentowała, że za jej młodości życie tam wyglądało inaczej. Zakradłam się z książką na płaski dach garażu i szybko zlokalizowałam sprosności, po czym przeczytałam całość. Była to pewnie pierwsza powieść dla dorosłych, jaką czytałam w życiu, wyłączając *Moby Dicka*.

Z książką Ernesta Bucklera wiązałam więc miłe wspomnienia; w latach siedemdziesiątych korespondowaliśmy ze sobą. W towarzystwie ciotek pojechałam zatem poznać go osobiście. Ciotka J. była zelektryzowana, ponieważ Ernest Buckler był prawdziwym pisarzem. Ciotka K. prowadziła. (Ciotka J. nie miała do tego uprawnień, bo jak twierdziła, podczas jednej z pierwszych prób jazdy spowodowała oberwanie klamek).

Ciotka K. dobrze znała okolicę i zwracała naszą uwagę na ciekawe miejsca. Miała dobrą pamięć. To od niej usłyszałam coś, o czym wszyscy pozostali, łącznie ze mną, zapomnieli: mianowicie że jako pięciolatka oznajmiłam, iż zostanę pisarką.

Podczas tej wyprawy myślała jednak o innych wydarzeniach historycznych. „Na tym drzewie powiesił się mężczyzna, który mieszkał w tamtym białym domu – powiedziała. – Tu spłonęła stodoła. Wiedzieli, kto podłożył ogień, ale nie mieli dowodów. Właściciel wziął strzelbę i strzelił sobie w głowę”. Te zdarzenia miały miejsce lata, dziesiątki lat temu, lecz w okolicy wciąż się o nich mówiło. Okazało się, że nasza dolina była bardziej podobna do *The Mountain and the Valley*, niż podejrzewałam.

Ernest Buckler mieszkał w domu, w którym nie zmieniono niczego od pięćdziesięciu lat. W salonie stała przykryta ochroniaczami kanapa wypchana końskim włosiem oraz piec na drewno. Ernest był ogromnie sympatyczny i mocno zdenerwowany – bardzo zależało mu na tym, żebyśmy się dobrze czuły. Skakał koło nas, gadał z zawrotną prędkością i co jakiś czas szedł na moment do kuchni, po czym zaraz wracał. Rozmawialiśmy głównie o książkach i o jego planie, by zasiać zgorzenie w sąsiedztwie, telefonując do domu mojej babci na linii obsługiwanej przez centralę i udając, że mam z nim

romans. „To by dopiero staruszki miały o czym plotkować”, powiedział. Każda jego rozmowa była podsłuchiwana, to jasne, ale nie tylko dlatego, że był miejscową sławą. Podsłuchiwano wszystkich.

Gdy się z nim pożegnałyśmy, ciotka J. wykrzyknęła: „To wielki zaszczyt! Powiedział, że masz rojny umysł!”. (Tak powiedział, zgadza się). Komentarz ciotki K. brzmiał: „Był ubzdryngolony”. Ona jedna z naszej trójki domyśliła się, dlaczego pan Buckler tak często wymykał się do kuchni. Zrozumiałe było jednak, dlaczego zachowywał dyskrecję – w naszej dolinie ludzie dzielili się na tych, co piją, i na porządnych.

A także: na tych, co piszą, i na porządnych. Tolerowano pisarstwo w małych dawkach, ale do pewnych granic. Gazetowe felietony o dzieciach i zmieniających się porach roku były w porządku. Seks, przekleństwa i picie alkoholu stanowiły wykroczenie poza normę.

Ja, w pewnych kręgach w naszej dolinie, coraz mniej mieściłam się w normie. Gdy stałam się bardziej znana, więcej miejscowych czytało moje książki, nie dlatego, by sądzili, że mają one jakąś szczególną wartość, ale dlatego, że byłam tamtejsza. Ciotka J. opowiadała mi, z wyraźną satysfakcją, jak kiedyś ukryła się za drzwiami salonu i podsłuchiwała, gdy babcię odwiedziła pewna zgorszona sąsiadka. Zgorszenie wywołała jedna z moich książek. Jak babcia mogła pozwolić, grzmiąca oburzona sąsiadka, by jej wnuczka publikowała tak niemoralną szmirę?

W naszej dolinie jednak nie ma większej wartości niż więzy krwi. Babcia spokojnie skierowała wzrok za okno i wypowiedziała kilka słów o tym, jaka piękna jest w tym roku jesień, a ukryta za drzwiami ciotka J. westchnęła z podziwu. I ciotki, i moja matka zawsze uważały widok babci broniącej swej godności za niezrównany, może dlatego, że doprawdy było czego bronić.

Owa sąsiadka była tą samą osobą, która jako dziecko sprowadziła moje ciotki na manowce, jakoś podczas pierwszej wojny światowej, namawiając je, by zjechały po gliniastym brzegu rzeki w białych, obszytych koronką pantalonach. Potem stanęła pod oknem, z nosem

przyciśniętym do szyby, by widzieć, jak dostaną lanie, nie tylko za zjeżdżanie po glinie, ale również za kłamstwo w tej kwestii. Babcia wówczas podeszła do okna i spuściła roletę – i to samo robiła teraz. Niezależnie od tego, co sobie myślała o sprośnościach w mojej prozie, zachowała te myśli dla siebie. Ze mną również nigdy się nimi nie podzieliła.

Byłam jej za to wdzięczna. Podejrzewam, że każdy, kto zabiera się do pisania, a szczególnie każda kobieta, czuje, przede wszystkim na początku, że robi to wbrew ogromnej, przeważnie milczącej presji, presji oczekiwań i przyzwoitości. Kobiety najsilniej odczuwają tę presję ze strony rodziny, tym bardziej, im mocniejszą jedność stanowi dana rodzina. Są rzeczy, o których się nie mówi. Nie skarż. Jeśli nie masz do powiedzenia nic miłego, to w ogóle nic nie mów. Czy wystarczającą przeciwwagą dla tych nakazów było inne powiedzenie mojej matki: „Rób, co uważasz za słuszne, nie zważając na opinię innych”? I czy do tych innych, których opinia miała nic nie znaczyć, zaliczali się członkowie własnej rodziny?

Gdy ukazała się moja pierwsza prawdziwa książka, z przerażeniem myślałam o dezaprobacie, z jaką się spotkam. Nie przejmowałam się specjalnie reakcją rodziców, którzy z wdziękiem przetrwali sporo innych przejawów mojej ekscentryczności – spódnice ręcznie drukowane w trylobity i trytony, eksperymenty z piwiarniami, chłopaków bitników – choć pewnie niejedną raz musieli gryźć się w język. Zresztą mieszkali w Toronto, gdzie najrozmaitsze sprośności zdążyły spowszechnić, a nie w Nowej Szkocji, gdzie, o czym nie mówiło się na głos, horyzonty mogły pozostać wąskie. Przejmowałam się tym, co powiedzą ciotki. Myślałam, że będą zgorszone, nawet ciotka J. Zetknęła się wprawdzie z moją wczesną poezją, ale kubki kawy i gnijące liście to jedno – w tej książce było coś więcej niż brudne naczynia i mierzwa. A co pomyśli sobie ciotka K., tak krytyczna wobec niedoskonałości w sprzątaniu i skłonności do picia?

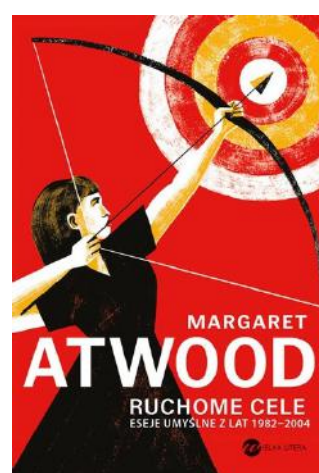
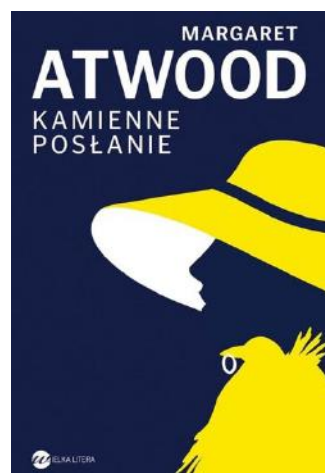
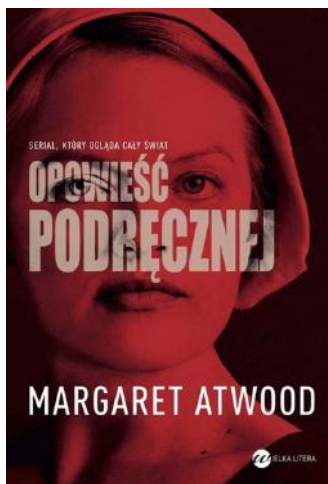
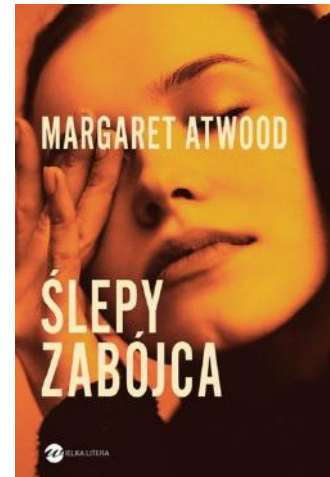
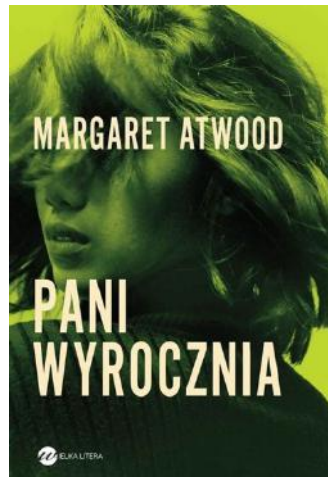
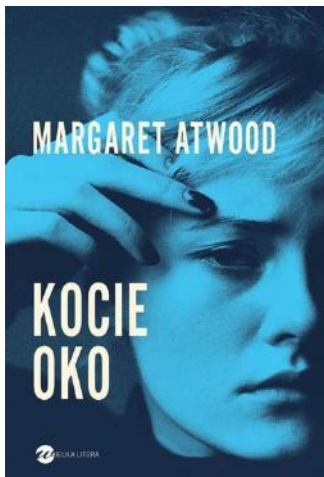
Ku mojemu zaskoczeniu ciotki zdały ten egzamin śpiewająco. Ciotka J. uważała, że to cudowna sprawa – prawdziwa książka!

Mówiła, że pęka z dumy. Ciotka K. powiedziała, że pewnych rzeczy, których się nie robiło w jej pokoleniu, w moim pokoleniu można próbować i brawo, że skorzystałam z tej okazji.

Ten rodzaj akceptacji był dla mnie, dla mojego dwudziestosześcioletniego umysłu, przekonanego, że sztuka jest wszystkim, ważniejszy niż powinien być. (W tym wieku powinnam już być odporna na zdanie ciotek). Podobnie jak w wypadku morałów opowieści mojej mamy, zupełnie nie jest dla mnie jasne, co to mogło znaczyć. Może widziałam w tym gest błogosławieństwa, przekazania czegoś z pokolenia na pokolenie. Przekazana została opowieść – to, co się wie i co można opowiedzieć. Co kryje się między wierszami. Zgoda na podzielenie się opowieścią z innymi, niezależnie od tego, dokąd może to zaprowadzić.

A może znaczyło to, że i ja zostałam włączona w czarodziej-ską, statyczną, lecz wciąż piszącą się sagę, którą opowiadał album ze zdjęciami. Zamiast trzech różniących się wyglądem młodych kobiet w staromodnych ubraniach i o identycznych rzymskich nosach, obejmujących się ramionami, od teraz będą cztery. Otworzyły się przede mną drzwi do domu.

Mogą Cię także zainteresować:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl